



Leszek Wojciechowski

część II z II

Sygnatura notacji: N1226

Data urodzenia: 18.05.1928 r.

Data nagrania: 19.02.2018 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Poznań, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Tomasz Sikorski

Czas nagrania: Część I: 45 min, część II: 60 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Leszek Wojciechowski: To wszystko, co do tej chwili powiedziałem, to dotyczyło wczesnego powstania w ogóle getta w Izbicy, bo na początku to było żydowskie miasto. Dlaczego żydowskie? Bo większość mieszkańców byli Żydzi. Podobno przed wojną mieszkało tam około 4 tysięcy Żydów. Podczas gdy po wojnie dowiedziałem się, że na terenie Izbicy w czasie wojny okresowo było nawet 12 tysięcy ludzi. Przecież wyobraźcie sobie państwo, ci ludzie muszą zjeść coś, muszą coś wypić, muszą iść do ubikacji. Przecież tam nie było nawet kanalizacji w tej prawej części. To były takie kanalizacje własnego typu szamba, więc jak ci ludzie mogli zachować jakąkolwiek czystość, higienę? Stąd na terenie getta pojawił się tyfus i plamisty, i dur brzuszny. Niektórzy mówili, że uważajcie, żebyście się nie zarazili, nie chodźcie tam do nas, idziesz, mówi, z chlebem, a się zarazisz jakimś tam durem brzuszny. Czerwonka panowała, bo często jak gdzieś padły świnię, to Żydzi brali tę świnię, jak ją ugotowali, sparzyli, to jedli to mięso. Ale warunki higieniczne były okropne. Tak że ja podzieliłbym tę Izbicę na kilka etapów. Etap pierwszy to było, ja bym powiedział żydowskie miasto, bo Żydzi byli swobodni, mogli wychodzić poza obszar, pracowali, wynajmowali się na przykład do prac drogowych, pracowali w klinkierowni przy załadunku tej glinki. Natomiast potem etap drugi to był taki, że wprowadzono pewne ograniczenia. Nie wiedzieli, jak to ugryźć, ponieważ przez środek Izbicy idzie szosa, która łączy, droga która łączy Zamość z Krasnymstawem, a tam od czasu do czasu i wojskowe transporty przejeżdżały, i w ogóle tam był ruch. Więc nie mogli zamknąć tego getta. Więc zostawili drogę wolną. Wtedy powołano policję żydowską i oprócz policjantów żydowskich było trzech policjantów granatowych. To byli Polacy. Jednego znałem bliżej, dlatego, że z jego córką chodziłem do szkoły. Wiem tylko, że był również wysiedlony z Kalisza i był zmuszony do pracy w policji. Potem etap następny to był taki, że zamknęli getto. Znaczący miasto otoczono drutami kolczastymi. Oczywiście były miejsca, że można było przejść, bo nikt tam od strony tej góry po prawej stronie, gdzie

był ten urobek, tam nie było tych płotów, ale była duża stromizna. Być może, że pilnowali tam to. Trudno mi powiedzieć, ale postawili posterunek, to znaczy wpierw stali tam policjanci żydowscy i policjanci polscy, czyli na wlocie i na wylocie do Izbicy. Natomiast po pewnym czasie już jak się zaczęły... Czyli to byłby ten drugi etap, gdzie getto było zamknięte, ale Żydzi mogli nadal wychodzić do pracy. Oczywiście za odpowiednią przepustką wystawioną przez Judenrat. Bo wiem tylko tyle, że mój ojciec potrzebował na dworcu, bo to był stary budynek z czasów austriackich, wszystko się sypało i ojciec potrzebował ludzi stolarzy, żeby mogli naprawić ten dworzec, te okna, bo to była rudera, zupełna rudera. I wtedy ojciec mówił, że chodził do tego Judenratu i stamtąd dostawał, i później się dowiedział, że jak dostał ludzi, to oni musieli się opłacić w Judenracie, żeby zgodzili się i dali mu przepustkę. Więc sama praca nie była nawet taka łatwa, jak się nie miało odpowiednich pleców w Judenracie. I potem etap następny to już był ten groźny etap, bo to wtedy, kiedy ściągnięto Ukraińców z SS-Galizien. Wtedy już były problemy, bo tak: i gwałty nawet na zewnątrz się działy poza gettem i oczywiście w tym samym całym czasie, o którym tutaj mówię, od końca 1940 roku do końca 1941 i 1942 roku, to organizacja w tym getcie była ciągle zmieniana. Dlaczego? Dlatego, że do pilnowania zewnętrznych granic getta to nie trzeba było tyle ludzi, ale natomiast jak była pacyfikacja, kiedy wyciągano tych ludzi z piwnicy, ze schowków, ze strychów, to wtedy używano psów, również które wyczuły, że tam ktoś jest pod podłogą schowany. I wtedy oczywiście policja żydowska przyprawiała tych wszystkich Żydów, których znalazła gdzieś po strychach, po różnych schowkach. Jak ich złapali, to być może dostawali za to jakąś gratyfikację czy nagrodę, trudno powiedzieć, ale byli bardzo aktywni. A myśmy z nimi mieli wojnę zawsze. To była niewypowiedziana wojna. Dlatego, że bywało tak, że moi koledzy czy ja przeszliśmy przez już te druty w getcie z chlebem, to policja żydowska jak zauważyła, to odebrała ten chleb i jeszcze patką po tyłku i wygnali stamtąd tych moich kolegów, więc myśmy naprawdę musieli uważać na tę policję, która była bardzo, bym powiedział, agresywna. Ten etap ostatni, to właściwie sami Niemcy już sobie, ja bym powiedział, ich organizacja nie zdawała egzaminu, bo nawieźli tyle ludzi, którzy nie mieli gdzie mieszkać, nie mieli jedzenia, nie mieli nic, bo wszystko im poodbierali. Jeżeli ktoś nawet coś ze sobą miał schowane, to się zaczęło wyprzedaż tych ostatnich bym powiedział biżuterii, czy jakichś zegarków, czy czegośkolwiek. Znam taki wypadek, gdzie z Czechosłowacji, jak przyszedł obóz, znaczy transport jak przyszedł Żydów do obozu, to przyjechało dwóch księży katolickich, ale mieli żydowskie gwiazdy na piersi. I kolejarzy się zainteresowali, o co tu chodzi. I potem w Judenracie żeśmy się dowiedzieli, bo jeszcze myśmy przecież na początku, ojciec jak zatrudniał tych Żydów za zgodą Judenratu, to nawet któregoś dnia dostał dwóch ludzi do odcinka drogowego, gdzie mieli ciąć podkłady. To było dwóch profesorów z uniwersytetu czy jakiejś tam w tym... To ja jeszcze ich uczyłem, jak należy piłą ciąć, żeby... Ale wracając dalej do tego sedna, to powoli coraz częściej już zaczynały się masakry, ponieważ Ukraińcy byli bardzo bezwzględni i jak ktoś uciekał albo nawet z niczego strzelali, jeszcze dostał nagrodę jakby go złapali poza gettem, więc może teraz powiem, ponieważ ja miałem tam znajomych w moim wieku, Żydów, więc ja od mamy brałem pieniądze, szedłem z kartkami do Tarnogóry do rzeźnika i wtedy oprócz tego mięsa, cośmy pobierali na kartki, to można było kupić takie płuca, serce, wątrobę, jakieś tam odpady taniej. Ja za te pieniądze od mojej mamy to wpierw szedłem, kupowałem te resztki od rzeźnika i zanosłem je wtedy do getta, a wchodząc do tego getta, to myśmy się już naprawdę oswoili, bo myśmy tam często wchodzili. Ja ze sobą miałem taki rozwidłony patyk, mniej więcej tej długości. Zawsze podchodziłem do płotu, wpierw zobaczyłem, w którym miejscu jest może obwisły przewód, drut kolczasty, i wybierałem sobie miejsce, gdzie najłatwiej jest podstawić ten patyk i unieść, czyli pomiędzy jednym słupkiem a drugim jest największa możliwość uniesienia tego drutu kolczastego i wtedy żeśmy podchodzili, wiedzieliśmy, w którym miejscu to jest, żeśmy zostawiali ten patyk schowany. Jak żeśmy wracali, to tą samą

drogą. I to właśnie, że ja wielokrotnie wchodziłem na teren getta i przedtem, jak jeszcze było otwarte, i później, kiedy już było zamknięte, to ja znałem i wiedziałem rozkład tych ulic, tych zaułków i wiedziałem również, bo ojciec zatrudniał takiego stolarza, który tam na terenie dworca remontował budynek. I on... przychodził na cały dzień na przepustkę i wracał do swojej rodziny, ale bywało tak, że ta żona widocznie wiedziała, kto na warcie stoi, że sobie załatwiła, że jej pozwolono wyjść z tego getta i przyszła do tego męża. I wtedy ona przychodziła z tymi dziećmi, ale to były rzadkie wypadki. Nie wiem, czy dwa albo trzy razy, ale ona wiedziała, gdzie ten mąż pracuje. I któregoś dnia słyszemy strzały na terenie getta, i ruch samochodów, bo to słychać było od razu wtedy, ruch samochodów i mówią, że Ukraińcy robią pacyfikację, ale my na to nie mamy wpływu. Proszę pana, w tym czasie na terenie getta była ta matka z tym dwojgiem dzieci. I ta matka, jak zobaczyła, że Ukraińcy i policja żydowska przewracają wszystko, co się dało, wobec tego, nie wiem, czy w panice, czy co, zostawiła tę swoją dwójkę dzieci, może kazała im się ukryć, już nie pamiętam, że te dzieci zostawiła i uciekła, a w tym czasie akurat jej mąż pojechał do jakiegoś tartaku w Tarnogórze zdobyć deski. I ona podeszła do mojej matki, i z płaczem rzuciła się, żeby wyraziła zgodę, że ja pójdę do getta po te dzieci. Moja mama spojrzała na mnie, wiedziała, co się dzieje i naprawdę podziwiałem ją później za to, że powiedziała: „Słuchaj, ja nie mogę ci powiedzieć «Nie idź», ale nie mogę ci też powiedzieć «Idź». Uważaj na siebie”. I poszedłem. Poszedłem ponieważ ten dom, w którym on mieszkał z tą rodziną, to był stosunkowo niecałe 30 metrów od drutu. Niedaleko przejazdu, ale w tym niebezpiecznie, bo każdy przejazd zawsze był pilnowany. I ja wtedy poszedłem. To już musiała być jesień, bo ja byłem w płaszczu. I wszedłem w to miejsce, podłożyłem, zabrałem sobie taki patyk, podłożyłem i miałem, mówię, te 30, może 40 metrów do tego domu. I wszedłem od tyłu. Ale bez przerwy słyszę strzały i krzyki. Ja już zapomniałem o wszystkim, tylko mówię do nich, bo one mnie znały, mówię: „Ubierajcie się szybko i wychodzimy”. A ta mała płacze i stoi tak, ta młodsza. Więc ja mówię: „Słuchajcie, jeżeli nie przestaniesz płakać, to nie zobaczysz już mamy, więc chodź szybko, bo mama czeka”. I wtedy ja nawet nie mogłem ubierać. Spróbowałem ubierać, ale słyszę niedaleko jakieś strzały, więc wyszedłem zobaczyć. Cisza. Nie ma nikogo w pobliżu. Mówię: „Szybko się ubierajcie”. I wreszcie, wie pan co, ja sam nie wiem, jak ta starsza dziewczynka ubrała tę matkę. Ubrała ją. Tamta zapłakana, obydwie takie, mówię: „Musicie umyć się”. Tak nie możemy, bo nas zatrzymają Ukraińcy. I tak to wyglądało. I jeżeli jak one się ubrały, to trwało na pewno te pięć, może dziesięć minut nawet. Długo to trwało, jak się zacząłem niecierpliwić, więc mówię: „To teraz wyjdźcie na ganek, a ja idę zobaczyć, czy jest wszystko w porządku”. I wyszedłem. Właśnie za narożnik wysunąłem głowę, spojrzałem w kierunku tego placu, gdzie zbierali ci Ukraińcy tych wszystkich Żydów i w tym momencie zostałem zauważony. Jak zauważyłem, że oni biegną w moim kierunku, ale oni mieli dobrych 200 metrów, może więcej od tego. Może za mocno wychyliłem się, żeby zobaczyć i zauważyli prawdopodobnie głowę. Ale myśmy przeszli tyłem przez podwórko, dalej był płot, kopnąłem w taki płot z patyków, do następnego sąsiada tego, co z przodu jest i stamtąd na łękę przy torze i wprost do tego miejsca, gdzie miałem już ten patyk. Podłożyłem ten patyk, przeszedłem tymi dziećmi, a teraz jak się znalazłem na torze kolejowym, wziąłem i obydwie za rękę, i zaczynam śpiewać na głos, bo zauważyłem, że biegnie dwóch Ukraińców po drugiej stronie płotu tego kołczastego i tak oglądają się, ale oni nie widzieli tych dzieci. Oni tylko widzieli głowę, a tu widzieli, że poza gettem idzie sobie z dziećmi i sobie opowiada bajki, wesoło sobie śpiewają: „Wlazł kotek na płotek”. Popatrzyli, popatrzyli i cofnęli się. I tym sposobem przyprowadziłem te dzieci, bo inaczej... Oni wyciągali wszystko, co żywe. Łącznie z niemowlętami. A ten pies był młody. I zaczął się bawić, puścił go na trawniczku tam przy dworcu. A to pies jak młody, to się chce bawić. Pociąg rusza, a ten pies nie da się chwycić. Chce się bawić. To w końcu widział, że pociąg już jedzie coraz szybciej, więc krzyczą na niego ci esesmani, i wskoczył, i tu trzy-

ma ten pistolet, tu się trzyma rączki. Wpierw chciał go chwycić, bo ten pies wleciał, jak on widział, że ucieka ten jego pan, to chciał go złapać ten właściciel, ten Niemiec, ale niestety nie mógł, to wtedy wyciągnął pistolet i chciał go zastrzelić. A ten drugi jeszcze widziałem, że machnął, że nie ma tego robić i pociąg odjechał, a pies poleciał za pociągami. Na drugi dzień rano ten pies siedział na trawniku w Rejowcu. Przez całe trzy dni bez jedzenia. Wreszcie go dostałem i złapałem go. Miał obrożę z obozu SS, numer, wszystko i miałem tego psa przez pewien czas, ale on był przeciwko ludziom, bo się raz rzucił na mnie i drugi raz rzucił się na człowieka, który mu zrobił krzywdę. A ten pies, jak: [niezrozumiałe, 00:26:45], uszy postawił i od razu zaczął do mnie przychodzić. Potem już mu się to... Taka dygresja mała. Czyli widzi pan, różne były sytuacje. Różne. Byliśmy, nie wiem, dwa lata temu, czy ile, w Tarnogórze i tam był proboszcz. Myśmy tak chcieli, powiedzieliśmy, dlaczego się tu interesujemy i tak dalej, tym bardziej, że obok był dwór tamten, wtedy się mówiło dwór.

Głos: Naprzeciw kościoła.

Leszek Wojciechowski: Naprzeciw kościoła.

Tomasz Sikorski: Ale to ten majątek Tarnowskich, tak?

Leszek Wojciechowski: Tak, tak. I ponieważ ja znałem tych obydwu synów Tarnowskich, gdzieś tam myśmy trzymali dystans od nich. I ci Tarnowscy wtedy prawdopodobnie przyjęli tego Himmlera i... Bo przyjeżdżali koło nas. Nie jechali do Izbicy i w Izbicy skręcili na Tarnogórę, tylko polną drogą skręcili przy naszym domu, tu w Izbicy i pojechali w kierunku czerwonego mostu, którego już w tej chwili nie ma, do tego majątku, być może tam było śniadanie czy coś takiego. To była cała kolumna samochodów. Od Mercedesów począwszy po jakiegoś łazika takiego.

Tomasz Sikorski: Czyli z całą ekipą, z całą świtą jechał.

Leszek Wojciechowski: Tak. I potem był bardzo taki ciekawy jeszcze, bo to było dla nas zaskakujące, bo ten powiedział, że tu nigdy żadnego Himmlera nie było. A ja przez przypadek, i mówi: „A skąd ja mogę wiedzieć? Himmlera? Czy ja znałem Himmlera?”. Tak mnie się ten proboszcz pyta. Ja mówię: „Ja nie znałem. Tylko mój ojciec powiedział, że przyjechał Himmler, bo mu powiedział, że rządcą z majątku, że przyjechał Himmler z Frankiem i jadą na polowanie. A ksiądz powiedział, że to bzdury opowiadam. Ile ja miałem lat w tym czasie. Wie pan, jak się widzi Mercedesa, jak odjeżdżali z lewej i z prawej strony jeleń ustawiony tak, przywiązany na tym błotniku, wygląda, uszy te, poroże ma na grzbiecie, przywiązany, to tak wyglądało jakby w skoku był. Na jednym i drugim, i tak sobie jechali. I jeszcze girlandy. Bawili się ładnie. A potem widziałem jeszcze, to już później oglądałem w internecie zdjęcia właśnie, że byli jeszcze odwiedzić, bo nie wiedziałem o tym wcale, z niemieckich dokumentów znaleźli, że odwiedzali tę klinkierownię. Razem, jest na zdjęciu, można zobaczyć.

Głos: Pod zdjęciem Izbicy ja znalazłam, że są różne klinkierownie.

Leszek Wojciechowski: Czyli to, co ojciec mówił, było prawdą, bo ja tylko widziałem dygnitarzy elegancko ubranych.

Tomasz Sikorski: Jasne. A ojciec znał szczegóły.

Leszek Wojciechowski: Tak. Mój ojciec zaangażował się w pomoc wszelkiego rodzaju. To znaczy Żydom. I wiem, że na przykład w gminie pracowała córka rzeźnika, który miał rzeźnictwo w Tarnogórze. Próbowałem znaleźć ślady tego, ale już nie mogłem znaleźć. I ta córka miała dostęp do pieczętek i wystawiali fałszywe kleinkarty. Dla kogo? Dla Żydów, którzy znali język polski i nie budzili powiedzmy wątpliwości. Natomiast wielki problem był z czeskimi Żydami czy holenderskimi, którzy znali doskonale język niemiecki, ale skąd wziąć teraz dokumenty. I okazuje się, że jak, to już jest wspomnienie mojego ojca, to mi mówił, że mieli dwa źródła skąd dostarczali ojcu dokumenty. Jeden to był w Solvay, firma, która w Krakowie była, w której zresztą papier nasz pracował. I tam robiono fałszywe dokumenty. Ale niektóre dokumenty były robione w Warszawie. Tam mieli drukarnię specjalną, gdzie drukowano. I była taka firma, która się zajmowała nasionami. Sprzedażą nasion. Niemiecka firma, chyba Ulrych się nazywała i wielkie przedstawicielstwo było już przed wojną, i w Warszawie było w czasie okupacji. I tam pracował, trudno mi powiedzieć, czy Żyd, bo przyjeżdżał normalnie na kenkartę i on przyjeżdżał, i przywoził dokumenty, które były później konsultowane na miejscu. Zawsze ja musiałem wyjść, jak był omawiane te sprawy i wiem tylko tyle, że dokumenty były robione dla Niemców. Żeby uratować na przykład Czecha, który znał doskonale język niemiecki, to miał szansę. To wtedy mu wyrabiano dokumenty niemieckie. Ale nie tylko dokumenty niemieckie. To były różne inne jeszcze dodatkowe dokumenty. To jakaś niemiecka karta na artykuły żywnościowe albo jakieś tam inne rzeczy. Dokumenty dodatkowe, bo sam paszport czy tam kenkarta to za mało. Musiało być jeszcze coś więcej. Czy jakieś zameldowanie, czy cokolwiek. Albo zaświadczenie z pracy. Czyli to wszystko było w dwóch miejscach fabrykowane. Jeden był właśnie w Warszawie, a drugi był w Krakowie. I niektórzy się załapali na to. Tak że to jest inna sprawa już. Ja w tym czasie nawet zdobyłem, proszę pana, znaczy ojcu przywieziono z Warszawy, jakaś firma polska zaczęła produkować młynki na mąkę. Ręczne. Te młynki do mąki, mam do dzisiaj ten młynek na wypadek nowej wojny. Żartuję. Ale proszę pana, dlaczego zaczęto produkować? To była akcja dywersyjna. Ponieważ Niemcy zrobili taką akcję, że ponieważ wsie nie dostarczały kontyngentów, które miały dostarczyć. Jak już nie było wyjścia, to się tłumaczyli, że partyzanci przyszli i zabrali z magazynów, które zdali, żeby mieć pokwitowanie, ale Niemcy się zorientowali, że to jest wszystko fikcja, od tych swoich tam różnych konfidentów i wtedy zaczęli akcję niszczenia żaren we wszystkich wsiach na Lubelszczyźnie i Zamojskim. Wchodzili z młotami i proszę pana, tłukli te kamienie, żeby ludzie nie mogli sobie mąki zrobić. I wtedy w Warszawie postanowiono produkcję zrobić, i zaczęto produkować. Myśmy sobie nieraz nam, kto pomógł, żeśmy mieli mąkę, jak trzeba było. Do dzisiaj mam. Duży taki młynek. Już chciałem go do muzeum oddać. Z odpowiednim komentarzem, bo okazuje się, że komentarz jest nieraz więcej warty jak sam eksponat.

Tomasz Sikorski: Pan będzie uprzejmy jeszcze wrócić raz do szczegółów o tych Żydówkach.

Leszek Wojciechowski: O tych Żydówkach. Więc te dwie dziewczynki... Znaczą może tak, ten stolarz, nie pamiętam już jego imienia ale nazywał się Szyje albo Szyjek. Bo to „K” na końcu to jest takie trudne, więc ja mogłem to już źle zinterpretować. Ale na pewno Szyjek albo Szyje. Ale chyba bardziej „K” na końcu. On miał żonę i dwoje dzieci. Nie znam już imienia tej żony, ale jedna z tych córek, ta starsza, miała na imię Żenia. Rosyjskie imię. A ta druga to była Hilda, ta młodsza. I jak ja wspominałem poprzednio, to w tym czasie, kiedy była ta łapanka w getcie, przez

tych Ukraińców, to jego nie było wtedy w tym warsztacie, gdzie on pracował i pojechał gdzieś po deski. Załatwiać, nie wiem, tam gdzieś na majątku czy coś. W jakimś tartaku. I stąd ja poszedłem po te dzieci. Jak je przyprowadziłem, to oni bodajże do wieczora, tak długo jak wrócił ojciec, to były u nas. Potem żeśmy się zaczęli, bo tych wszystkich Żydów, co połapali, co przed nosem naszego domu prowadzili na tę rampę kolejową. Więc widać było, ile ludzi w tej łapance, w tym wszystkim zostało zaaresztowanych. I o ile pamiętam, to była wielka narada. Ja nie brałem w tym udziału, bo ojciec mówił: „My musimy coś z tym zrobić. My nie możemy tu dalej utrzymywać”. Dopóki to jest, on przychodził do pracy, to wszystko było. Więc on wtedy był znanym stolarzem. Nie tylko w Izbicy samej, ale na dworze u Tarnowskich, więc był znany i może po tym nazwisku coś więcej się można będzie dowiedzieć. Wiem tylko, że nie wiem, albo nocowali w komórce pewnie ze dwa dni, potem zabrał tę rodzinę i wrócił. Wrócił sam, czyli wiem, że do getta już nie poszli. On miał prawdopodobnie gdzieś poza gettem jakąś melinę, czy jak to się mówi. Poza tymi Żydówkami i tym panem Szyjek, to były jeszcze trzy Żydówki. Nie znam już nazwisk, wiem, że jedna była Roza, a druga... Roza i... Ilza. Bo to mówili po niemiecku, a to jest Elza. Więc Ilza. Obydwie miały wyższe wykształcenie. One pomagały na ogrodzie i sprzątać. Tak długo, jak mogły wychodzić z getta. Jak zlikwidowali getto, to one wróciły. Natomiast ta trzecia zrobiła nam niespodziankę, a mianowicie to był 1943 rok, nie, 1942 rok. Byliśmy już... Ale to był chyba koniec. Koniec 1942 roku. Prawie 1943 rok. Wtedy, kiedy Niemcy już zdecydowanie dostali łupnia pod Moskwą i w Leningradzie. I któregoś dnia ktoś puka do drzwi. Patrzą, Gerda. Przywitaliśmy się z nią, bo bardzo serdecznieśmy się znali. Ona pracowała też na terenie dworca. I ona się opiekowała tą panią, ona była ciężko chora na wątrobę, tego dyżurnego ruchu. Więc on ją trzymał tak długo, jak mógł, a potem pojechała do Lublina. Jak pojechała do Lublina, to tam pewnie z trzy miesiące ją trzymano. Ale któregoś dnia powiedziano im, że się skończyło wszystko i że już ludzie zaczynają się dowiadywać, co tu się dzieje i oni nie mają zamiaru... To wszystko w relacji tej Gerdy. I na końcu znaleźli osobę, która podjęła się ją zabrać, i zawieźć do Czechosłowacji. Bo to była jedyna szansa, żeby przetrwać. Ale postanowiła, musiała za to drogo zapłacić. Widocznie miała jakieś pieniądze i znalazł się jakiś gość, który obiecał, że ją zawiezie do Zakopanego, a ona była wysportowaną alpinistką, więc mówiła, że weźmie sobie gdzieś tam zamieszka, weźmie sobie narty i sama przejedzie przez Tatry na drugą stronę. I tak jak zaplanowała, to niestety nie zrealizowała, bo w Otwocku pod Warszawą niedaleko, facet wysiadł i powiedział: „Mam cię gdzieś” i ją zostawił. Z biletem, który już miała wykupiony do Zakopanego. Czyli to był taki typowy szmalcownik. Pojechała, bo nie wiedziała, co zrobić. Przyjechała na miejsce, postanowiła wypić herbatę i poszła do restauracji, poprosiła o herbatę. Od razu po akcencie, bo gdyby poszła do Nur für Deutsche, na tę wartę, to wszystko może by było dobrze, ale ona poszła do Polski i od razu poznali, że to jest Żydówka. Znalazł się facet jakiś, który powiedział, że: „Zdejmij ten zegarek, zdejmij tę jeszcze jakąś bransoletkę”, bo inaczej zawezwie policję. I tak było. Dała mu zegarek, za resztę pieniędzy wsiadła w pociąg i znała tylko nasz adres, wiedziała, że mój ojciec jest w Rejowcu i przyjechała do nas. I teraz żeśmy się zastanawiali, znaczy ja mówię „żeśmy”, no, rodzice moi. Co dalej zrobić z tą Gerdą? Przecież to był haupt banknot, Niemców było pełno, nie tylko Niemców, byli Ukraińcy w dużej ilości, w samej tej cementowni dla ochrony było 80 Ukraińców, więc ludziom trudno zaufać, jak się ich bliżej nie zna. I w końcu ona podjęła decyzję, że pojedzie jeszcze raz do Zakopanego, ale będzie tym razem udawać Niemkę. I wsiadła, i pojechała, ale ślad po niej zaginął całkowicie. Trudno nam powiedzieć. Tak że pojechała w wagonie Nur für Deutsche.

Tomasz Sikorski: Natomiast tę Gerdę poznaliście na terenie Izbicy, tak?

Leszek Wojciechowski: Tak, tak.

Tomasz Sikorski: Ona tam była z rodziną?

Leszek Wojciechowski: Nie.

Tomasz Sikorski: Sama, sama była.

Leszek Wojciechowski: Sama, sama. Bardzo fajna dziewczyna.

Tomasz Sikorski: Ale ona mieszkała w Izbicy czy ją przywieźli?

Leszek Wojciechowski: Nie, nie.

Tomasz Sikorski: Przywieźli ją od razu z Czechosłowacji.

Leszek Wojciechowski: Przywieźli ją z Czechosłowacji, dlatego...

Tomasz Sikorski: Okej. Dlatego był ten problem językowy.

Leszek Wojciechowski: Tak, ten problem językowy. To był duży problem, dlatego tak wielka była i ważna sprawa wyrobienia dokumentów niemieckich dla takich ludzi. A żeby wyrobić niemieckie dokumenty, to było bardzo ciężko, bo trzeba było wie pan, nieraz mieć te, jak się wyjeżdżało, to były te karty żywnościowe, nie wiem, jak to się nazywało już w tej chwili. To były, że można było z nich korzystać poza miejscem zamieszkania.

Tomasz Sikorski: Jak by pan był jeszcze uprzejmy wrócić do tych scen z getta. Chodzi mi szczególnie o tych ludzi, których rozebrali, odprowadzili na stację.

Leszek Wojciechowski: Tak. Ja byłem na terenie dworca w Izbicy, a dworzec w Izbicy jest dosłownie 2 metry od szosy, od krawędzi szosy. Był, bo już go nie ma. Tak że na terenie dworca to ja mogłem przyjść do ojca, który pracował, a poza tym ojciec w ogóle miał problemy, bo okazuje się, że pierwszy problem to był z tym Engelsem. Któregoś dnia okazuje się, że przyszedł Engels i powiedział, że za trzy dni potrzebuje 12 wagonów. Ojciec powiedział mu: jak sobie sam się postara, tak wprost, to je będzie miał, bo ja... to już musiała być zima. Nie zima, tylko późna jesień, bo mówi: „Ja mam kontyngenty do odstawienia, mam zamówione wagony, muszę w dyrekcji Lublin zamawiać wagony pod buraki, pod pszenicę, pod inne materiały budowlane, jest bauplatz” i proszę pana, jest takie hasło, że koła muszą się kręcić dla zwycięstwa.

Głos: Für den Sieg.

Leszek Wojciechowski: Tak. Räder... müssen rolne für den Sieg. Tak. I powiedział, że: „Pan wybaczy, ale ja mam swoje przepisy i mam swoje”. „A ja daję panu befehl - rozkaz”. Mówi: „Proszę pana, jak pana na świecie może nie było, to ja już służyłem w wojsku niemieckim. I wiem, co to znaczy befehl. Ale befehl to mi może dać tylko jednostka upoważniona. A pan nie jest moim zwierzchnikiem”. I się z nim pokłócił. On mu powiedział jeszcze: „Lepiej, żebyśmy się raczej nie spotykali”. I ojciec wtedy przyszedł do domu. Widocznie rozmawiał to jeszcze z innymi kolegami i mówi: „Zdaje się, że o jeden krok poszedłem za daleko”. Ale odmówił mu. Powiedział mu tak, jak chce, to niech sobie zamawia. „A jak mam zamawiać?” „Proszę bardzo, ma pan telefon”. Tylko telefon kolejowy był. Dzwonił, dzwonił, nie dogadał się. Kazali mu przyjść jutro czy pojutrze, bo nie ma wagonów. I tak go zrobił na szaro. I ojciec się bał później, bo ojciec już później dostawał powiadomienie, kiedy przyjdą transporty, znaczy wagony będą dostarczone, że będzie wiadomo, że będzie kolejna łapanka tych Żydów w getcie. I szczerze mówiąc, to miał strach nawet iść, bo nie wiadomo było z kim, z jakimi Żydami rozmawiać żeby ich ostrzec. Tak że naprawdę były problemy, że można było stracić głowę, gdyby Niemcy dowiedzieli się, jak to naprzód już można przewidzieć ich działania. To może teraz jeszcze wróć do takiego epizodu bardzo takiego drastycznego może. Dla mnie to był szok w każdym bądź razie. Nigdy nie widziałem ludzi... Widziałem parę osób kąpiących się, dzieciaków nago, ale żeby widzieć kolumnę ludzką nago kobiet, starców, dzieci, to było dla mnie szokiem. Po bokach szli esesmani, od czasu do czasu, nie wiem, czy strzelali w powietrze dla postrachu, bo za tą całą kolumną jechała, była pchana taka dwukołowka przez policjantów żydowskich, którzy prawdopodobnie jak kogoś zastrzelili, to wkładali na ten wóz i transportowali dalej, żeby wrzucić później pewnie do tych wagonów. Na końcu szli właśnie ci policjanci. A ponieważ jak już wspominałem, budynek był oddalony od szosy tylko o 2 metry, a budynek pewnie ze 4 metry był szeroki, czyli ja widziałem wszystko z odległości mniejszej jak 10 metrów. I kiedy kolumna, ja już się bałem, bo widziałem, bo obok przechodzili równoległe ci esesmani, więc bałem się, że mogę mieć jakieś nieprzyjemności, już się wycofałem za narożnik w razie czego. I spojrzałem jeszcze, i nagle patrzę, już koniec kolumny. Pod sam koniec to był ten wózek, który wieźli i w ostatnim rzędzie idzie pewnie z sześciu ludzi, a w środku idzie... Właściwie nie idzie, skacze jakiś Żyd nago, starszy z brodą i widzę, że jest bez nogi, zupełnie. Być może, że miał kiedyś drewnianą, ale albo mu zabrali, albo mu coś zrobili, więc... I z dwóch stron pod ramiona dwóch innych mężczyzn prawdopodobnie na polecenie tych esesmanów prowadzą tego Żyda i nagle patrzę, a on niemowlaczka trzyma nago. Takiego niemowlaczka. I nie chciał puścić, bo oni mu chcieli zabrać, ci, co go prowadzili. A on twardo trzymał, a oni go trzymali i go prowadzili. I to było już właściwie... Dalej nie... Od tego miejsca, gdzie te wagony stały już, powiedzmy 50 metrów dalej, gdzie już ich ładowano. To byłby ten przykry fragment.